

Panie i Panowie,

Zostałem zaproszony na to spotkanie z okazji 83. rocznicy przybycia pierwszego transportu więźniów z Polski do obozu koncentracyjnego w Dachau. Wprawdzie nie przybyłem do Dachau jako ostatni więzień obozu koncentracyjnego, który miał numer 161896 i był również Polakiem, ale przybyłem do Dachau "transportem śmierci" z Flossenbürga tego samego dnia, tj. 27 kwietnia 1945 r.

Otrzymałem numer 161661 - jestem więc jednym z ostatnich żyjących więźniów Dachau. Aby dać Wam wyobrażenie o tym, jakimi " przestępcami" byli Polacy w oczach nazistów, postanowiłem przedstawić swój własny życiorys. Urodziłem się w Kutnie 11 lutego 1929 r. Kutno to miasto powiatowe położone mniej więcej w centrum Polski. Leży na linii Warszawa - Poznań i Łódź - Toruń, oddalone jest o 130 km od Warszawy i 170 km od Poznania. Mój ojciec był kierownikiem państwowego młyna. Niestety, zmarł niespodziewanie 5 stycznia 1938 r.

Moja matka była nauczycielką. Miałem siostrę, która była o trzy lata starsza. Mieliśmy dom z pięknym sadem i ogrodem w centrum miasta, przy jednej z dwóch głównych ulic łączących ratusz z dworcem kolejowym. Po wybuchu wojny w 1939 roku Niemcy wypędzili Polaków z zachodniej części Polski, z rejonów Gdańska, Poznania, Katowic, Łodzi, także z Kutna i przyłączyli te tereny do Rzeszy Niemieckiej, nazywając resztę Polski, z wyjątkiem części zajętej przez Związek Radziecki, "Generalnym Gubernatorstwem". Rozpoczęło się wypędzanie: przymusowe natychmiastowe opuszczenie miejsca zamieszkania z możliwością zabrania walizki z rzeczami osobistymi. Na początku 1940 roku zostaliśmy wypędzeni z Kutna. Zostaliśmy przygarnięci przez rodzinę w Warszawie: Matka i siostra przez ciocię, siostrę mamy, ja przez wujka Adama, brata mamy, który był oficerem w III Oddziale Straży Pożarnej w Warszawie. Na początku 1942 roku mój wujek został przeniesiony do I Oddziału Straży Pożarnej przy ulicy Nalewki 3. Wtedy władze nie zgodziły się na mój pobyt u niego, bo nie byłem jego synem. Teren getta znajdował się w bezpośrednim sąsiedztwie.

Trafiłem do schroniska RGO [Rada Główna Opiekuńcza, polska organizacja polska organizacja charytatywna działająca podczas II wojny światowej, założona w 1940 r. za zgodą niemieckiego okupanta] dla chłopców, które mieściło się przy ulicy Leszno 81. Mogłem więc kontynuować tajne nauczanie na poziomie szkoły średniej. W czasie okupacji niemieckiej nauka na poziomie szkoły średniej i wyższej była dla polskiej młodzieży zakazana.

Po drugiej stronie ulicy Leszno, za trzymetrowym murem, znajdowała się dzielnica żydowska. W getcie warszawskim Niemcy zgromadzili ponad 400 tys. Żydów i wysyłali ich stąd transportem kolejowym w wagonach towarowych do obozów zagłady, gdzie byli mordowani w komorach gazowych lub masowo rozstrzeliwani. Do getta dostarczano zbyt mało żywności i panował straszny głód. Z 4 piętra, gdzie był akademik, mogłem zobaczyć, jak w kwietniu 1943 roku stłumiono powstanie w getcie żydowskim. W tym kontekście myślę, że warto przytoczyć definicję pojęcia "powstanie", aby zrozumieć to, co działo się w Warszawie w 1943 i 1944 roku: "Powstanie to walka zbrojna z wrogiem o odzyskanie niepodległości." Według tej definicji Żydzi nie mogli odzyskać niepodległości, ale chcieli umrzeć godnie, z bronią w ręku, a nie w komorze gazowej. Kiedy w getcie pozostało już tylko kilku Żydów, niemieccy żołnierze krzyczyli przed każdym domem: "Wszyscy wyjść!" - i wrzucali do piwnic granaty i podpalali miotaczami ognia jeden budynek po drugim. Z okna akademika widziałem całą okolicę w płomieniach. Nikt nie gasił pożaru. Straszne.

Podobnie Polacy nie mogli odzyskać niepodległości w 1944 roku, bo za Wisłą byli Rosjanie i wiadomo było, że nie poprzestaną na zdobyciu Berlina. Ale chcieliśmy, żeby świat zrozumiał, że walczymy o wolność i że Rosjanie nie są naszymi przyjaciółmi. Na początku sierpnia 1944 roku Heinrich Himmler nakazał Oskarowi Dirlewangerowi, który dowodził kilkuset żołnierzami w dzielnicy Wola w Warszawie, oraz [Bronisławowi] Kamińskiemu, który również dowodził kilkuset zbrodniarzami wojennymi w

dzielnic Ochota, likwidację tych dzielnic poprzez gwałcenie kobiet i mordowanie mieszkańców na Ochocie, masowe rozstrzelanie, palenie ciał i podpalanie domów na Woli. Sporządziłem listę 60 miejsc egzekucji na Woli, w podwórkach, na ulicach czy placach, którą przekazałem burmistrzowi Woli. Najwięcej, czyli 16 000 osób w jednym miejscu, rozstrzelano na Górczewskiej, w dwóch miejscach na Wolskiej po 5000 mieszkańców, w sumie tylko na Woli ponad 50 000 mieszkańców. W Warszawie-Woli znajduje się cmentarz ofiar Powstania Warszawskiego, na którym pochowano ponad 100 tys. ciał i złożono 30 ton prochów skremowanych zwłok. Na podstawie przeprowadzonych badań wolontariusze Muzeum Powstania Warszawskiego ustalili już nazwiska i adresy zamieszkania kilkudziesięciu tysięcy z nich tych ofiar. 7 sierpnia 1944 r. wycofaliśmy się z Woli na Stare Miasto, które broniło się do końca miesiąca. 1 września obrońcy Starego Miasta otrzymali rozkaz wycofania się do centrum miasta.

Zostałem aresztowany 2 września 1944 r., a po selekcji umieszczono mnie wraz z setką innych mężczyzn w wagonie towarowym, który został otwarty dopiero we Flossenbürgu 7 września 1944 r. Było też sześć innych wagonów, ale nie wiem, gdzie je dołączono. Na placu apelowym obozu koncentracyjnego spotkałem mojego wujka, oficera Straży Pożarnej, który przybył do Flossenbürga tym samym transportem, ale w innym wagonie. Niestety, wujek Adam został pobity na śmierć kijami 24 grudnia 1944 roku. Na placu apelowym musieliśmy rozebrać się do naga i oddać wszystko, co mieliśmy i nigdy nie zostało nam zwrócone. Największym cierpieniem dla mnie było pozbawienie mnie złotego medalika na łańcuszku – pamiątki z mojej Pierwszej Komunii - oraz zegarka kieszonkowego Tissot - pamiątki po moim ojcu. Otrzymałem numer więźnia P23591. A wujek Adam Klepa otrzymał P22976. Po krótkim okresie kwarantanny udało mi się podjąć pracę w montowni samolotów Messerschmitt. Po sześciu miesiącach, pracowałem przez dwa miesiące w kamieniołomie, głównie przewożąc bloki granitowe o różnych rozmiarach. Praca w kamieniołomie była wymagająca fizycznie, ale przynajmniej odbywała się na świeżym powietrzu. Ale gdy padał deszcz, spaliśmy w mokrych ubraniach, bez rozbierania się, na pojedynczych łóżeczkach, we czwórkę. Dwie osoby z głowami w jedną stronę, dwie inne w przeciwną. Mogliśmy jedynie włożyć pod głowę nasze drewniane buty. Muszę wyraźnie zaznaczyć, że dla nas w obozie koncentracyjnym najgorszym cierpieniem nie była praca, ale głód. Dzienna porcja chleba wydawana po apelu wieczornym wynosiła we wrześniu 1944 roku 1/4 bochenka. W kolejnym miesiącu było to już tylko 1/6 bochenka. W grudniu 1944 roku 1/8 bochenka, ale w styczniu i lutym 1945 roku racje wydawano w plastrach po 1/10 i 1/12 bochenka. W razie kary ograbiano nas z dziennej racji chleba. Jak to było możliwe? Stosowano środki higieny zwane "apelem wszy". Jeśli blok był na "wszawym apelu", to po apelu wieczornym szliśmy do baraków i nie dostawaliśmy chleba. W baraku wchodziliśmy na stołek pojedynczo, z opuszczonymi spodniami i koszulami. Strażnik świecił lampą na nasze genitalia i koszule, aby sprawdzić, czy nie ma wszy, które właściwie wszyscy mieli. "Wybrańcy" byli wyprowadzeni na zewnątrz do łaźni. Pozostali wracali na blok i dopiero wtedy otrzymali swoją dzienną rację chleba. Pechowcy, obarczeni wszawicą, czekali przed łaźnią do godziny 21.00. Potem musieli się rozebrać do naga. Trzeba było związać ubranie w węzeł tak, aby numer był na wierzchu, a następnie oddać je do parowania, czyli zabiegu dezynfekcji. Trwało to sześć godzin. Nadzy więźniowie, czekali na placu apelowym przed łaźnią do północy. Następnie wpuszczano ich do łaźni. Przez pięć minut włączano bardzo zimną lub bardzo gorącą wodę, choć temperaturę można było ustawić dokładnie. Nie było ani mydła, ani ręczników. Po wyjściu z łaźni mokrzy więźniowie czekali na placu do godziny 3 nad ranem. Następnie wydawano im ubrania po dezynfekcji i czekali na placu apelowym do godziny 5.00 - czyli do pobudki w obozie koncentracyjnym. "Zawszeni" nie mieli prawa do dziennej porcji chleba, więc po porannym apelu szli do pracy głodni i niewyspani.

Inną oficjalną karą była chłosta. Mogła być wykonywana przy pomocy bata lub drewnianego kija, było to 5 do 25 uderzeń. Skazaniec zawsze był nagi i zazwyczaj otrzymywał maksymalną karę, czyli 25 uderzeń. Odbywało się to w okolicy pomieszczenia SS przeznaczonego do pisania. Najczęściej funkcjonariusze więzienni samowolnie, nieoficjalnie i bez powodu, torturowali kijem innych więźniów

na terenie bloku. 20 kwietnia 1945 r. obóz koncentracyjny Flossenbürg otrzymał nakaz ewakuacji. My, więźniowie, nie znaleźliśmy celu podróży. Za nami szły cztery kolumny, każda z około 5 tys. więźniów, w jednej z nich byli głównie więźniowie z obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie. Szedłem w kolumnie prowadzonej przez oficera SS [Hermann] Pachena. Przez pierwsze cztery dni nie dostaliśmy nic do jedzenia. Piliśmy wodę z przydrożnych rowów. Poinformowano nas, że jest to marsz śmierci. "Marsz śmierci". Każde wyjście poza linię jest traktowane jako próba ucieczki, gdzie strzelają bez ostrzeżenia. Ci, którzy nie mogli podnieść się z ziemi po jakimkolwiek zatrzymaniu kolumny, byli mordowani. Piątego dnia dano nam pół bochenka chleba. Nasze żołądki nie mogły tego wytrzymać. 27 kwietnia wieczorem do Dachau dotarło tylko nieco ponad 1200 więźniów. Wlokłem się na końcu i usłyszałem, jak licznik przy bramie Dachau mówi: "Tysiąc dwieście". Za mną weszło może jeszcze kilku więźniów. W piątym dniu marszu, po postoju, nie miałem już siły podnieść się z ziemi. Byłem zrezygnowany. Podeszło do mnie dwóch nieznanymi mi chłopców i kazali mi wstać, bo Niemcy mnie zabiją. Nie miałem siły. Podnieśli mnie i cała nasza piątka kontynuowała spacer, ręka w rękę. Po ponad 40 latach spotkałem jednego z tych "aniołów" w Warszawie. Staliśmy się i zostaliśmy przyjaciółmi. Później obaj należeliśmy do kręgu byłych więźniów Flossenbürga w Warszawie. W kręgu było nas 200 osób. Teraz tylko ja jeszcze żyję.

Dwa dni po przybyciu do Dachau obóz został wyzwolony przez Amerykanów. Po umyciu zostałem postawiony na wadze. Ważyłem 29 kilogramów i miałem tyfus. Wysłali mnie do namiotu, do szpitala polowego. Byłem nieprzytomny przez dwa i pół miesiąca. Wyzwoleni z Polski więźniowie Dachau trafili do Monachium-Freimann, aby odzyskać siły. Tam spotkałem około 500 polskich księży - z grubo ponad tysiąca, którzy byli w Dachau. Jeden z nich powiedział mi, że niedaleko jest obóz dla Polaków, którzy wykonywali w Niemczech pracę przymusową, a oni byli z rodzinami, czyli były też kobiety i dzieci, i tam musi być szkoła. Poszedłem tam, aby przypomnieć sobie coś z moich szkolnych czasów, po tym jak miałem prawie rok przymusowej przerwy.

Po roku spędzonym w szkole w Wildflecken (Dolna Frankonia), zostałem wysłany do Esslingen koło Stuttgartu, gdzie mogłem kontynuować naukę. W 1947 roku zacząłem wysyłać listy do Polski w poszukiwaniu matki, ponieważ od sierpnia 1944 roku nie miałem kontaktu z rodziną. Kiedy dowiedziałem się, że mama żyje, natychmiast wróciłem do Polski. Dopiero w latach osiemdziesiątych, w czasach "Solidarności" i wycofaniu się wojsk rosyjskich z Polski udało mi się w latach dziewięćdziesiątych nawiązać kontakt z miejscem pamięci Flossenbürg. Zostaliśmy zaproszeni i pojechaliliśmy tam, aby spotkać się z młodzieżą - jako współcześni świadkowie. Na podstawie własnych doświadczeń w dwóch obozach koncentracyjnych utrzymuję, że nasze przetrwanie zależało wyłącznie od Opatrzności Bożej.

prof. dr hab Leszek Żukowski